

Za najwybitniejszego polskiego matematyka przełomu XIX i XX wieku uważany jest **Stanisław Zaremba**.

Zaremba był pierwszym Polakiem, którego matematyczne osiągnięcia autentycznie liczyły się na świecie. Gdy jednak dziś mówi się o początkach wielkiej polskiej matematyki w XX wieku, wymienia się w zasadzie wyłącznie Szkołę Lwowską i Szkołę Warszawską. Absolutnie nic nie ujmując z ogromnych zasług tych dwóch ośrodków dla rozwoju matematyki polskiej, nie wolno zapominać, że tak naprawdę polska matematyka „światowej klasy” zaczęła się od Zaremby.

Zaremba (1863–1942) otrzymał w 1886 roku dyplom inżyniera, po czym wyjechał na studia matematyczne do Paryża. Tam w roku 1889 zrobił doktorat na Sorbonie; w swojej pracy doktorskiej rozwiązał w pełni problem, który czekał na rozwiązanie ponad 30 lat, a był atakowany m.in. przez Riemanna. Publikował w czołowych pismach matematycznych we Francji. Mógł tam zrobić wielką karierę; uznał jednak, że Polsce potrzebny jest kontakt ze światową matematyką i w roku 1900 objął katedrę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Rozwinął tu niezwykle aktywną działalność naukową, organizacyjną, dydaktyczną; dzięki niemu w Krakowie młodzi ludzie dowiedzieli się o wielu zagadnieniach i problemach, przeprowadzono wiele świetnych doktoratów i habilitacji. Nie można zapominać, że w Krakowie z wieloma ówczesnymi problemami matematycznymi zetknął się młody Stefan Banach, który przecież tu właśnie został „odkryty” przez Steinhausa. Tu zrobił doktorat Sierpiński. Tu powstało Polskie Towarzystwo Matematyczne, którego Zaremba był współzałożycielem i pierwszym prezesem. Rozmaite wyniki Zaremby do dziś są cytowane przez znakomitych matematyków.

Zainteresowało mnie ostatnio, przed jaką komisją Zaremba zdawał egzamin doktorski. I ciekawe – w wielu pozycjach o polskich matematykach jest zawartych wiele informacji, także i o Zarembie, ale tych danych akurat nigdzie nie udało mi się znaleźć! Na szczęście w Archiwum UJ pieczołowicie przechowywane są rozmaite stare dokumenty; łatwiej znaleźć różne fakty dotyczące studenta z początków tego stulecia (łącznie z tym, na czyje wykłady uczęszczał), niż studenta sprzed 30 lat. Jest tam też wiele dokumentów związanych z Zarembą, m.in. kilka jego własnoręcznie pisanych życiorysów. W jednym z nich udało mi się odnaleźć poszukiwaną przeze mnie informację.

Zaremba pisze: *Dnia 30-go listopada 1889 uzyskałem w Sorbonnie przed komisją egzaminacyjną złożoną z profesorów Darboux, jako prezesa oraz Picarda i Poincarégo jako egzaminatorów dyplom „Docteur ès Sciences Mathématiques”...*

K.C.

W gablotce Koła Matematyków Studentów UJ ukazywała się w roku 1975 powieść kryminalna w odcinkach **Zbrodnia nilpotenta** autorstwa Leszka Michalika. Oto fragmenty.

... Dionizy z przyjemnością homeomorficznie zanurzał wargi w zimnej, aczkolwiek nieco mętnej cieczy. Po chwili jednak twarz skurczyła mu się lokalnie na wspomnienie czekających go w stołówce studenckiej nigdziegęstych quasi-sznychli. – Coraz trudniej zdobyć niezdegenerowane formy posilków – pomyślał i ciało jego przybrało wyraźne torsyjny charakter. W końcu jednak odrzucił trywialnie działającą grupę myśli, przeprowadził restrakcję pojęć do ideału i odświeżony spojrzał z ufnością na gwiazdzście przeliczalne niebo, kompaktyfikujące się w oddali. Następnie zbliżył się do nabytej niedawno czarnej, kudłatej różnorodności różniczkowalnej wymiaru 3, wziął delikatnie na rękę, popieścił i uczesał. Po chwili pobawił się z nią trochę w zadawanie stycznych w punkcie, przerwał dla żartu różnorodnością topologiczną, a gdy Ksina (tak nazwał swą różnorodność Dionizy) poczęła dyfeomorficznie wgrzyzać mu się w krawat – zaprzestał zabawy, położył pod ścianą najbliższego sympleksu i wreszcie przekroił pokój polem wektorowym, zostawiając Ksinie nieco przestrzeni przeliczalnie parazwartej. (...)

Było zupełnie cicho.

Nagle drzwi od mieszkania Dionizego gwałtownie otworzyły się i do pokoju wpadł ociekający krwią trup.

Trup nie żył. Zaskoczony niemile Dionizy zdążył jedynie stwierdzić, że zwłoki spełniały aksjomat Lindelöfa, po czym nagle uderzenie w tylną część czaszki pozbawiło go przytomności. (...)

Dionizy z wysiłkiem uniósł ciało, usiłując przypomnieć sobie wydarzenia sprzed kilku godzin. Powiódł uzwarconymi oczami po mieszkaniu – gdy wtem wzrok jego padł na stożkowate ciało trupa, ciemne od zakrzepłej krwi. Z dozą melancholii pomyślał o tym, czym mogło być jeszcze życie dla trupa żywego, dla trupa z dokładnością do izomorfizmu. Po chwili jednak zdał sobie sprawę z grozy sytuacji, w jakiej się znalazł. Pokój należało przede wszystkim posprzątać, a później zastanowić się, co zrobić z trupem. Dionizy wziął stojącą koło wieszaka miotłę z nalepką „KNASTER-KURATOWSKI COOPERATION” i ekwimorficznie zamiótł podłogę. Tymczasem w trupie zaczęły już się zagnieżdżać pasożyty przeliczalności. Dionizy wziął więc z półki centralizator i spryskał zwłoki. Tymczasem Ksina zaczęła skomleć. Rzucił jej więc kostkę Cantora do pogryzienia, a sam usiadł w fotelu. (...)

Tymczasem trup dalej nie żył. Dionizy próbował wprowadzić do niego choćby najślabszą topologię – nie dało się. Próby metryzowalności też zawiodły. Trup był lokalnie otwarty, tak więc nawet twierdzenie o zanurzaniu niewygodnego ciała w przestrzeni domkniętej nie mogło tutaj dać efektu. Poza tym sprawa najwidoczniej pachniała kryminałem. W dodatku Dionizy z przerażeniem stwierdził, iż na mocy pewnika wyboru zostanie z pewnością zaliczony do grupy najbardziej podejrzanych. Sytuacja wydawała się beznadziejna. ...